

KRAINA POWIEŚCI

BEZPŁATNY DODATEK - WYCHODZI DWA RAZY W TYGODNIU.

Rok 2

CHOJNICE, dnia 25. I. 1929.

Nr. 7

JÓZEF CHELMIŃSKI

TAJEMNICA STAREJ CHATY

28

POWIEŚĆ SENSACYJNA Z DNI WSPÓŁCZESNYCH

— Był pan przed śmiercią Szymańskiego w jego gabinecie?

— Byłem.

— Poco, w jakim celu?

— Żądaliśmy wydania papierów i tego, żeby w swoim mieszkaniu na pewien czas przechowywał naszych ludzi.

— I dlaczego Szymański był od was zależny?

— Tego nie wiem.

— Któż tedy wie?

— Lorenz

— Co spowodowało Szymańskiego do samobójstwa?

— Zagroziliśmy mu najpierw porwaniem żony i dzieci a gdyby i to go nie zmięczyło, wówczas doniesieniem do prokuratora.

— Czem zajmuje się „Pięcioramienna Gwiazda” na terenie Polski?

— Szpiegostwem, propagandą antypolską, szmuglem, kradzieżami i tym podobnie.

— Na terenie całej Polski?

— Nie tylko na Pomorzu.

— A w jakich powiatach specjalnie?

— Tego zdradzić nie mogę.

Wszystkie pytania i odpowiedzi Roman skręcić nie notował.

— O bliższe szczegóły pana pytać się nie będą, ciągnął Suchocki dalej, to sprawa właściwych władz sądowych i wojskowych. Niech pan siada. Następny z kolei!

Zeznania dwóch pozostałych mężczyzn jakoteż obu kobiet były o tem samym mniej więcej brzmieniu. Po spisaniu protokołów odczytano je jeszcze raz aresztantom, ci je podpisali, poczem Suchocki odesłał całą szajkę do więzienia, sam zaś pozostał w mieszkaniu Szulca i przeprowadził gruntowną jego rewizję.

Plon jego był tak obfity, że przechodził nawet oczekiwania samego wywiadowcy. O czem to znalezione dokumenty nie mówiły?

„Pięcioramienna Gwiazda” według tych rozkazów i raportów zajmowała się każdym rodzajem zbrodni. Widocznie chodziło jej oto, aby wśród polskiego społeczeństwa pomorskiego wywołać jaknajwiększe rozprężenie narodowe, społeczne i moralne. Chciała prawdopodobnie osłabić jego tężyznę i odporność, żeby stało się łatwym łupem chciwego sąsiada. Włosy stawały Suchockiemu na głowie kiedy czytał owe karty pełne nienawiści, plugactwa i podłości.

Wszelkie dokumenty pisane były szyframi, jednak dedektyw z łatwością je odcyfrowywał,

gdyż znaleziony w szczęce Berty klucz szyfrowy stał mu się teraz jawnym.

Podczas kiedy pilnie przerzucał całe sterty kartek i arkuszy w gabinecie Szulca, doleciał go od drzwi wychodzących na sień, jakiś przytłumiony szmer. Ktoś próbował klamki.

Wywiadowca bezszelestnie wysunął się do przedpokoju i nadśluchiwał. Osobnik znajdujący się na sieni instrumentem jakimś zaczął wypychać klucz ze zamku. Pchła nachylił klapkę szybki obserwacyjnej i rzucił na sień okiem.

Przed drzwiami stał dryblas potężnego wzrostu, jedną ręką manewrował narzędziem złodziejskim w zamku, w rękawie drugiej trzymał ukryty rewolwer. Wyglądał na zawodowego opryszka.

— A ten co za ananas? pomyślał Suchocki. Złodziej czy też członek bandy?

Z zachowaniem wszelkich ostrożności dedektyw usunął się na bok tak, żeby skrzydło otwierających się drzwi go zakryło.

Włamywacz manipulował dość niezręcznie, gdyż po dłuższym dopiero czasie udało mu się klucz wyrzucić na podłogę. Następnie opryszek wyjął z kieszeni klucz włożył go do zamku, dwa razy przekręcił i drzwi się otworzyły.

Bandyta wkroczył do przedpokoju. Lewą ręką przymykał drzwi, w prawej trzymał rewolwer w pogotowiu. Twarzą obrócony był w stronę pokojów.

Suchocki cicho i zwinnie jak tygrys rzucił się na włamywacza. Jednym uderzeniem pięści wytrącił mu rewolwer z garści, drugim uderzeniem grzmotnął go w kark. Opryszek się zatoczył lecz nie upadł. Widocznie był silny, innego bowiem tak silny cios byłby zwałił bezprzytomnego z nóg.

Momentalnie też bandyta odwrócił się do wywiadowcy. Kopnięciem nogi zatrzęsął na pół otwarte jeszcze drzwi, poczem bryzgnąwszy przekleństwem:

— A, to ty djable wcielony! Dawno czekałem na okazję, żeby cię wysłać do piekła! rzucił się na Suchockiego.

Chociaż włamywacz był ogromnym jak tur, nie okazywał jednak żadnej ociężałości. Przeciwnie ruchy jego odznaczały się szybkością i błyskawicznością iście kocia.

Zanim Suchocki się spostrzegł, przeciwnik jego chwycił go wpół i ze straszną siłą do siebie przyduśił.

Dedektywowi gwiazdki zamigotały w oczach, dech mu się zaparł i zaczął tracić przytomność.

W tak miażdżącym uścisku nigdy jeszcze się nie znalazł.

Próbował dobrze wypraktykowanymi i zawsze skutecznymi chwytami wydobyć się z objęć olbrzyma. Niestety, jednak nic one nie pomogły. Zdawało się, że członki i mięśnie bandyty odlane są ze spiżu.

Suchocki stawał się coraz bezwładniejszy i przez głowę przemknęła mu myśl, że nadeszła, jego ostatnia godzina, że owinięty potężnymi łapami niby zwojami potwornego węża, na tej zbrodniczej piersi wyzionie ducha.

Naraz jak przez mgłę usłyszał podwójny okrzyk:

— Ręce do góry!

Z wysiłkiem otworzył oczy.

Przed bandytą stał Roman, przytykając mu do głowy lufę brzoźnika. Tak samo w progu stało dwóch innych wywiadowców, celujących w bandytę.

— Opryszek usłuchał rozkazu. Rozluźnił śmiertelny spłot i podniósł oba ramiona. Dedektyw upadł bezprzytomny na ziemię.

Kiedy otworzył oczy spostrzegł, że leży w pokoju jadalnym Szulza na otomance. Przeciwnik jego siedział na krzeselku, skuty na rękach i nogach, pozatem przywiązany sznurem kilkakrotnie do poręczy i nóg krzeselka.

Wygląd jego wskazywał, że trzej wywiadowcy ciężką z nim toczyli walkę, zanim udało im się go obezwładnić.

Suchocki czuł się bardzo osłabiony. Z wysiłkiem usiadł na otomance.

Bandyta zarechotał szyderczym śmiechem. — Miałeś szczęście Pchło! Takie chuderko jak ty byłbym w ciągu pięciu minut zdusił na miążgę. No, ale nie ostatni raz się spotykamy. Przy okazji załatwię się z tobą prędzej...

— Milcz! krzyknął Roman. Co ci pomogą twoje przechwałki, jeżeli mimowszystko znalazłeś się w naszej mocy. Kupę latek za ten zamach na szefa odpakutujesz. Zresztą nie wróż sobie byle co. Można być takim bykiem jak ty, na nic się jednak to zda, jeżeli we łbie sieczka. Gdybyś był uważniejszy, byłbyś więcej zważał na drzwi jakiegось je otwierali i byłbyś zdążył się ocalić.

Opryszek odpowiedział tylko gniewnym pomrukiem.

Suchocki zaczerpnąwszy nieco powietrza zapytał słabym głosem:

— Jak się nazywasz?

— Co tobie do tego.

— Pociąg tu przychodzi?

— Co tobie do tego?

— Znaczący to, że nie chcesz odpowiadać na moje pytania.

— Oczywiście że nie.

— Tem gorzej dla ciebie.

— Czemu? zapytał olbrzym z ironicznym uśmiechem.

— Bo wiem, kim jesteś! odparł Suchocki z takimże uśmiechem.

Bandyta wybatużył oczy. Na twarzy jego odmalowało się przerażenie. Po chwili wybuchnął:

— Skąd możesz mnie znać? Chyba jesteś czarodziejem! Dziś pierwszy raz przyjechał do Torunia i pierwszy raz widziałem cię na ulicy.

Suchocki machnął ręką.

— Ot, nie wielka to sztuka. Stoisz na usługach „Pięcioramiennej Gwiazdy”. Przysłali cię w miejsce aresztowanego Gustawa. Nazywasz się w waszych spisach „Nr. 16”.

Nietylko opryszek rozdziawił gębę, lecz także Roman i dwaj jego towarzysze.

— A teraz odprowadźcie tego chłopca do aresztu! rozkazał Suchocki. Ty Roman zostaniesz z nami.

Jak rzekł, tak się stało.

Roman ze współczuciem mspoglądał na swego szefa. Widać było, że Suchocki siłą woli dotąd się ttrzymał. Skoro został ze swym podwładnym sam na sam, znowu opadł na poduszki.

— Może podać panu wody? zaofiarował Roman swe usługi.

— Nie, nalej lepiej szklanekę burgunda. To mnie pokrzepi. Chorobny chłop, ma siłę jak byk. Zdawało mi się, że znalazłem się w żelaznej prasie. Jeszcze minuta a byłbym wyzionął ducha. Dzięki kuję ci Roman za pomoc. Ale jakim cudem ty się akurat w tym czasie z kolegami znalazłeś.

— Całkiem prosto. Przyszła mi myśl do głowy że mogę być panu pomocny. Kiedy stanęliśmy w sieni u drzwi, słyszeliśmy wasze zmagania. Kluczkowi na zewnątrz, więc drzwi otworzyłem i dziękowałem Bogu, że na czas przybyliśmy.

— Daj jeszcze szklanekę wina!

Suchocki pił pokrzepiający napój z uczuciem rozkoszy, choć fizyczne osłabienie nie ustępowało, to jednak czuł, iż wraca mu humor i równowaga ducha.

Roman ze współczuciem spoglądał na swego

— Niech mi jednak pan szef powie, jakim sposobem pan określił i poznał tego człowieka, tak trafnie, że on sam się zadziwił.

— Bagatelka! Nosi on w krawacie szpilkę, której główka przedstawia girlandę liści dębowych, okalającą okrągłym wieńcem cyfry 16. Szulz natomiast, kiedy pod tą otomaną leżałem, telefonował z człowiekiem, którego nazwał „Nr. 16”. Jeżeli zachodzi człowiek z szesnastką w krawacie do tego domu, musi być owym „Nr. 16” i należeć do „Pięcioramiennej Gwiazdy”.

W walce z tym drabem poczułem jego ogromną siłę. Podobną siłę posiadał z tej szajki tylko Gustaw, ten zaś siedzi we więzieniu, a że szajka takich siłaczy potrzebuje, więc przysłała „Nr. 16” na miejsce Gustawa. Zrozumiałeś?

— Wspaniała kombinacja, zawołał Gustaw ze szczerem podziwem.

— Zadowolony jestem z dzisiejszego dnia, rzekł Suchocki. Jeno nie całkiem zadawalniają mnie zdobyte papiery. Stanowią one świetny, obciążający materiał, niestety nie wyjaśniają, gdzie właśnie stara chata się znajduje i gdzie znajduje się siedziba „Pięcioramiennej Gwiazdy” w Niemczech. Ta tajemnica mnie dręczy.

— Jeszcze ją pan wykryje, rzekł Roman.

Muszę bo inaczej szajka nie przestanie istnieć. Tylko zburzenie jej gniazda wyda ją nam w nasze ręce.

Raptem rozległ się donośny głos dzwonka. Ktoś u drzwi wchodowych dzwonił i mocno stukał.

— Kto to może być? szepnął Roman. Podejdę zobaczyć.

Z temi słowy odbezpieczył rewolwer i cichutko pośpieszył do przedpokoju. Także Suchocki usiadł i ujął broń do ręki.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Matka królów

10

— Wracaj sobie do żony — rzekł szyderczo Świdrygiełło. — O! ona tam słyszę rozbijała się, aby jej co prędzej męża z niewoli wypuścili. Jaka tu tobie niewola? Ja ciebie do ciemnicy nie sadzałem. Na zamku siedziałeś jak pan, ty i Lachy twoje. Głodem was nie morzyli, dyb nikomu nie kładli, Teraz jeszcze stąd srebra jak lodu wywieziesz dosyć, a i podarków się nie powstydzę. Nu, wrota otwarte, nie trzymam was... Z Bogiem, wracaj sobie do Polski....

Podziścił głowę Świdrygiełło, i gdy król zbliżył się, zby mu podziękować, on kołpak nałożywszy, ani na niego, ani na nikogo nie patrząc, już do drzwi się zawrócił i wyszedł.

Kniaź Siemion pozostał.

Na dworze królewskim niewypowiedziana radość po niepokoju i trwodze nastąpiła. Jagiełło odżył.

Nie mając kogo uścisnąć, objął kniazia Siemiona, bo jemu przypisywał tę nagłą szczęśliwą zmianę.

Holszański się wypierał, i szeptał cicho.

— Z Polski przysła wiadomość o wojsku.... Sonka przyspieszyła wysłanie. Jej podziękujcie! Jagiełło ręce składał do modlitwy.

Andrzej z Tęczyna, Drzewicki, Mężyk, którzy tulichy pochowawszy, weszli do izby, poczęli, króla po rękach całując, nalegać, aby natychmiast do podróży się sposobić, dnia jednego nie ociągając, by człowiekowi szalonemu pod złą godzinę nie przysła ochota króla zatrzymać.

Nie można było przewidzieć, co doniosą o podolskich zamkach, których poddanie się świecą wstrzymać mogła, a Świdrygiełło znowu rozjuszony, króla był gotów więzić. Należało więc korzystać z chwilowego usposobienia.

Król się zgadzał na wszystko, ale powolny zawsze, znajdował, że najmniej dni kilka przygotowania zabrać musiały.

Tak, nad wszelkie spodziewanie, w chwili, gdy zrozpaczony dwór gotował się do szalonej obrony króla, ważąc własne i jego życie, pękły cudownie okowy i zamiast przesładowania, obsypa no ich podarunkami.

Byli wolni.

Poważniejsi nawet ludzie jak Drzewicki i Tęczyński z radości się nie posiadali, Bogu dziękując za oswobodzenie.

W pierwszej chwili, nie wyjmując króla wszyscy poszaleli z radości. On tylko, korzystając ze szczęśliwej zmiany, dowodził już, że brat dziwak porywczy, szalony w sercu był dobrym i przywiązanym do niego.

Na to inni milczeli; wiedziano bowiem i patrzano codzień na tę dobroć, której ofiarą ludzie padali.

Drzewicki tegoż dnia listy do królowej i senatorów wygotował, donosząc, że wszelkie niebezpieczeństwo minęło, a Jagiełło z niewoli powraca.

Jagiełło czując się już bezpieczniejszym, chciał w lasy litewskie puścić się na łowy, za którymi był stęskniony, ale Andrzej z Tęczyna i Drzewicki uprosili go, aby tego nie czynił, co rychlej Wilno opuścił, a do Polski śpieszył, gdzie na niego królowa i panowie niespokojnie oczekiwali.

Możeby i nie dał się tak łatwo skłonić do tego Jagiełło, gdyby tego dnia wieczorem, nie przy-

szedł kniaź Siemion przestrzedz poufale, iż Świdrygiełło po pijanemu znowu się odgrażał, i jeśliby zamków podolskich nie zdano, niewolą i zemstą się odkazywał.

Dwór więc króla, już prawie go nie słuchając wozy wytaczać kazał, ładować je, zbierać skrzynie, wiązać sakwy, konie kuć i na gwałt się do podróży sposobić.

Podkanclerzy i to miał na uwadze, że Jagiełło z tych stu tysięcy rubli, które mu brat ofiarował, z owych futer, szub, sukna i jedwabów, tak już na wszystkie strony rzucał podarkami i szafował, począwszy od Siemiona Holszańskiego, iż gdyby tu cokolwiek dłużej posiedzieli, pewnieby wszystko rozdał do denara.

Powstrzymać go nie było podobna, a czyniło mu to taką przyjemność, iż żał brał go jej pozbywać.

Dzień już był do drogi wyznaczony, gdy Jagiełło zażądał koniecznie pożegnać brata, który sam do niego przyjść nie chciał. Wziąwszy więc z sobą Drzewickiego, Tęczyńskiego i trochę ludzi, pojechał do Gastoldowego dworu.

Tu po całych dniach i nocach biesiadowano, i jeżeli kniaź był w domu, zawsze, o wszelkiej godzinie, zastać go było można za stołem z podпиты mi bojarami, przy misach i dzbanach.

Nieinaczej też znalazł go Jagiełło. Widząc go wchodzącego, kniaź nawet nie raczył powstać, bo jary tylko ruszyły się z czolobitnością.

Świdrygiełło był dosyć dobrej myśli, choć się jej dowierzać nie godziło. Począł do króla wołać zdala.

— Jedziesz już! to jedź... jedź, a nie okłamuj mnie, żem ja cię tu męczył i w niewoli trzymał. Nic ci się nie stało, cały jesteś: powracasz do żony. Z innym człowiekiem nie ze mną, nie takby ci łatwo poszło!

Król mu wtedy, przysiadłszy na ławie, dziękując za dary, łagodnie rady dawać zaczął, aby Polaków i tak już rozdrażnionych nie jętrzył, a z królestwem i z nim wiernie trzymał.

— Mam ja swój rozum, ty mnie nie ucz — przerwał Świdrygiełło mu — będę wiedział, co czytać! Poznają mnie Laszkowie twoi... niech się tylko tu osiedzę.

Któryś z bojarów, oględniejszy, znak mu dał ażeby się tak z tem, co myślał, nie wydawał, zamilkł więc, a potem żarty z króla począł stroić. Wrzście nalawszy sobie kubek a jemu drugi, zmusić chciał Jagiełłę, aby z nim pił.

— Ty wiesz, że ja nie piję miodu, ani wina nigdy — rzekł król spokojnie — wodą, jeśli chcesz przepiję do ciebie.

— Cóż ty... boisz się, aby ja ciebie nie struł? — krzyknął kniaź. — Musisz ze mną to pić, co i ja. Niegorszym ja od ciebie.

— Jako żyw nic gorącego i chmielnego do ust nie biorę — powtórzył Jagiełło. — Nie mogę.

— Ale ze mną musisz pić.

— Wodę.

— Nie... miód!!!

Jagiełło milcząc kubek odstawił, bo, jak zapachu jabłek nie znosił, tak i napoju gorącego powąchać nawet nie mógł.

Świdrygiełło już twarz zaczęła kraśnieć, usta drgać, porwawszy kubek gwałtem go Jagiełło do ust tkał, a Siemion Holszański nadbiegł go bronić.

Wpadł kniaź na niego i na króla w okrutną złość, poczynając łajać, a że w gniewie pomiarkowania nie znał i można się było obawiać gwałtu jakiego, bo się coraz zapamiętałym stawał,

chwycili pod ręce Jagiełłę Tęczyński z Mężykiem i z izby uprowadzili, a Holszański tymczasem miotającego się Świdrygiełłę na ławie przytrzymał, sam się spełnić ofiarując, ile zechce kubków za króla. Zmusił go z sobą pić i tak się to skończyło.

Starcie to niespodziane, w chwili wyjazdu tem boleśniej dotknęło Jagiełłę, że miało mnóstwo świadków, bo izba bojarów pełna była którzy po pijanemu, ośmieleni zuchwałością kniazia, wysmiewali króla i poszanować go nie chcieli.

Pierwszy raz Jagiełło uczuł się tem do żywa obrażony i wyjazdowi już się nietylko nie przeciwował, ale sam go chciał przyspieszyć.

Z rana nazajutrz król z całym pocztem swoim, zajechał do O. Franciszkanów wysłuchać mszy św., dokąd i biskup Maciej go przeprowadził Tu Jagiełło, obdarzywszy mnichów, weselszy puścił się w drogę, naprost zmierzając w Chełmskie.

Gdy w lasy wjechali, a powietrzem ich, do którego pierś jego tak była nawykła, stary odetchnął... dopiero mu życie wróciło i całą swobodę i wesołość odzyskał. A że wszędzie po drodze spotykali go ludzie z poszanowaniem cześć mu oddając, dotkliwiej teraz rozpamiętywać musiał jak wielkiego doznał w Wilnie upokrzenia. Skarżył się też przed wszystkiemi i przyjmując niewolę, a obchodzenie się z nim brata, oburzał przeciw niemu.

Od granicy szlachta witając, zabiegała mu drogę. Z Krakowa dano wiedzieć, że królowa Sonka, biskup Zbyszek, wojewodowie: krakowski i sandomierski, kasztelan krakowski, marszałek wielki i innych dosyć panów, ciągną przeciw królowi, który na zapusty z Tura miał przybyć do Sopoty i tam z żoną i z nimi się spotkać.

Sonka wiozła z sobą dwu synaczków, dla których właśnie zjazd naznaczył był nauczyciela i nadzorcę, Wincentego Kota z Dębna, kustosza, gnieźnieńskiego i szlachcica Piotra Ryterskiego.

W Sopocie zastał król wszystkich oczekujących już nań. Zapłakana królowa z dziećmi szła go witać.

Starszyzna do nóg mu się kłaniała, biskup błogosławił i kropił wodą święconą, tłumy czapki podrzucały, wołając:

— Żywie!

Serce rosło staremu, widząc jaka go tu miłość otaczała.

Nie przechwalała się z tem, ani nawet wspominała królowa, jak niezmordowanie przez cały czas niewoli nawoływała, prosiła, nagliła o przyspieszenie odsieczy. Świadczyli o tem inni mówił biskup gdy odeszła, świadcząc że nie miała spoczynku, do póki szlachty nie skłoniła, aby się zbroiła dla skutecznej obrony i czci pana swojego.

Ciężkie były lata ostatnie króla starzejącego bezsilnego w walce ze zbuntowanym Świdrygiełłą z Rusią, z korzystającymi z pory pogodnej dla nich wiarołomnymi Krzyżakami.

Święta wielkanocne spędził Jagiełło z królową w Krakowie (1435).

Nadchodziła wiosna, zazielenić się miały lasy. Wielki ich miłośnik starzec już nie mógł usiedzieć w murach swojej stolicy. Napróżno go tu stała się utrzymać królowa, mająca nad nim więcej władzy, lecz nieśmiejąca zmieniać starego trybu życia, za którym tęsknił Jagiełło.

Pozoru do tej podróży w lasy, na Ruś, dostarczył zjazd w Haliczu ze Stefanem, moldawskim hospodarem.

Ciągnął więc król do swej ulubionej Medyki

powoli, a sprzyjało podróży łagodne powietrze i zdradliwie przyspieszona wiosna. Lecz gdy przybył na miejsce, powiało mrozem nagle. Rozwinięte już liście, kwiaty, podrosłe zboże ściał i zwarzył chłodny wiatr północny.

W połowie maja, jak się u nas często trafia, wróciła na krótko zima, oziębiło się powietrze, a choć potem błysnęło słońce, ciepło rychło powróciło nie mogło.

Króla jednak towarzyszący mu panowie, czeladź, komornicy w jego dworze w Medyce powstrzymać nie umieli. Rwał się im i prosił do lasu.

W głębinach puszczy chłód nie wszystko zwarzył; ulubione Jagielle słowiki zawodziły pieśń, przypominając starym jego młodość, Litwę, lepsze czasy.

Już nie na łowy, bo pora nie była po temu i sił do nich nie starczyło, jechał król, tylko się gdzieś na kłodzie, wśród gąszczów i słuchać ptactwa, któremu wiosna śpiewać kazała. Tu on mógł i o wiarołomnym Świdrygiełłę i o biskupie, co go tak karcił, o wszystkich niewdzięcznościach i zawodach zapomnieć.

Marszałek, łowczowie, wierna czeladź napróżno ostrzegali go że w lasach wiosenną porą siedzieć niezdrowo. Nie wiele już miał do stracenia, a słowiki śpiewały tak ślicznie.

Dnia tego, pojechawszy, z południa w lasy, nie dał się z nich wyciągnąć aż nocą. Noc była przejmująca chłodem, król w jednym swoim starym kozuchu wytartym. W powrocie dreszcze go porwały, ale nie było obawy, bo na to byle jaki ciepły napój mógł poradzić.

Nazajutrz musiał król ciągnąć do Gródka, dokąd na dzień naznaczony postawie od gospodarza przybyć mieli. Zwlókl się biedny z postania i choć zmęczony, a niezdrowszy, pojechał... Siadł tam jeszcze z Moldawianami do stołu w nieopalonej izbie chłopskiej, gdy wśród obiadu zimnica strasznie trząść go zaczęła.

Nie można już było na zjazd pewnego dnia na znaczyć, Jagiełło musiał się położyć.

Znana to choroba, na którą lekarstw jest tysiąc; lecz ją baby, każdy ma na nią niezawodny środek, — nie tracono więc nadziei, król pomimo wieku swego wyzdrowieje.

On sam pierwszych dni nie trwożył się wcale. Pojono go bobownikami i goryczką, zadawano jako lekarstwo wino korzenne. Wszystko to wzmagalo gorączkę, i zimnica uparta wracała.

Wreszcie siły zaczęły opuszczać starca. Strach teraz ogarnął towarzyszących mu... liczono lata i trudy... wysłano na wszystkie strony po lekarzy.

Nie było już ratunku!

Znużony życiem on pierwszy poczuł, że się ono wyczerpało. Dawno mu już było tęskno za spoczynkiem.

Zażądał spowiedzi i kapelan Mikołaj kilkakroć go spowiadał. Pobożnie przysposabiał się do śmierci, a z wielkim pokojem ducha. Prosty a dobroduszny, nigdy przed sobą win swych i słabości nie tall, znał je. Nie czynił się wielkim, — pragnął być czystym.

W ostatniej godzinie, ten co tak szczodra dłońią sypał dobrodziejstwa wokoło, jednym się tylko niepokoił, czy jakich krzywd niewynagrodzonych nie pozostawił po sobie.

Zwracał się ciągle do spowiednika, przypominając mu, zaklinając, aby na duszy jego nie ciążyły ży ludzi. (C. d. n.)

Drukiem i nakładem drukarni „Dziennika Pomorskiego” w Chojnicach.